

Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI



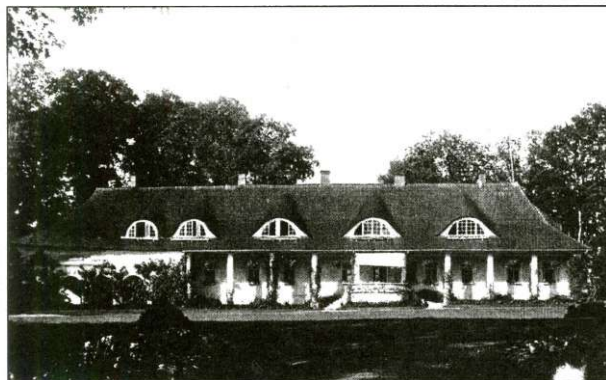
Teresa z Fudakowskich Rostworowska **NAPAD SOWIETÓW NA KRASNOBRÓD W ZAMOJSKIEM**

Coraz częściej służba szeptala o bandytach, którzy jakoby już całymi grupami napadają, a urządzili sobie stały obóz o 12 km od Krasnobrodu we wsi Zielone, na uboczu od szosy, wśród lasów. Pewnego dnia, a było to we czwartek, wezwano mego brata do telefonu z Zamościa. Okazało się, że to pułkownik Niemiec, ten, który stacjonował w Krasnobrodzie przed uderzeniem na Rosję, zawiadamiał, że przejeżdżając przez Zamość z frontu na urlop, chce do Krasnobrodu zajechać z wizytą i że tegoż dnia wieczorem przyjedzie i uprzejmie prosi o przenocowanie. (Niemcy nie jeździli nocami, bo bali się „bandytów”, jak nazywali AK). Przygotowano więc pokój i moi braterstwo czekali z kolacją, ale pułkownik zjawił się dopiero koło 11, bardzo przepraszając za spóźnienie i mówi: „Ale uprzedziłem państwa karteczką, że mi się w drodze samochód zepsuł i że się spóźnię”. Moi braterstwo zdziwieni mówią, że żadnej karteczki nie otrzymali. Pułkownik z kolei zdziwiony powiada: „Stałem na szosie w połowie drogi, gdy mijał mnie młody człowiek w jasnym palcie i czarnym berecie jadący na rowerze. Zatrzymałem go, pytając, dokąd jedzie, on mi na to mówi, że do Krasnobrodu. Napisałem do państwa kartkę, że się spóźnię i prosiłem młodzieńca, by tę kartkę oddał”. Moja bratowa poszła indagować służbę na folwarku i okazało się, że nikt nie widział człowieka w jasnym palcie. Pułkownik przenocował i nazajutrz raniutko wyjechał. Tegoż dnia w południe w biurze była wypłata tygodniowa.

Nazajutrz rano życzliwi ludzie z miasteczka uprzedzili mego brata Kazimierza, że tegoż dnia ma być napad

na Podzamek, więc mój brat postanowił zorganizować jakąś obronę. Kazał zwołać sześciu gajowych, gdyż im tylko Niemcy pozwalali mieć broń, zebrał całą administrację i mężczyzn bawiących w domu i ułożył plan obsadzenia sześciu punktów, tj. sześciu gajowych a przy każdym z nich paru mężczyzn. Mieli objąć stanowiska o zmroku. W szystkie panie zaś z żeńską służbą miały się zebrać w samym dworze na piętrze. Ponieważ wszędzie było światło elektryczne, więc i dwór i budynki folwarczne były oświetlone. Przed zmrokiem mój brat, jeden gajowy i dwóch panny udało się na punkt najodleglejszy, tj. do domku rybaka nad rybnymi sadzawkami w stronę, od której się spodziewano najścia, inni zaś objęli naznaczone stanowiska. My kobiety poszłyśmy na górę, zaryglowawszy frontowe drzwi i kuchenne, z których szły schody na górę, kończące się na długim korytarzu, biegnącym wzdłuż kolejnych pokoi.

Dla nadania sobie pozorów spokoju rozłożyłyśmy stolik do brydża. Różia, córka moich braterstwa, która była w ostatnim miesiącu ciąży, położyła się u siebie w szczytowym pokoju, który oboje zajmowali, akuszerka, która już była sprowadzona, była w pokoju na parterze. Zapanowała cisza o zmroku. Moja bratowa, ciocia Kunicka, ja, Marysia Chmyzowska, Anusia Kicińska, siedziałyśmy na górce, a bona dwuletniej Izabelki Żółtowskiej w garderobie na tym samym korytarzu. Po chwili staje w drzwiach pokojówka blade jak ściana i mówi zdławionym głosem: „Już są”. „Gdzie?”. „Koło domu”. Więc biegnę do pokoju Rózi i ostrożnie wyglądam przez okno i widzę tuż przy



Dwór w Krasnobrodzie

rogu domu pod dużym drzewem stojącego mężczyzną z karabinem na ramieniu. Wróciłam do pań i mówię, że stoi oberwaniec z karabinem w ręku. Zaległa cisza oczekiwania. Przyznać muszę, że każda kryje lęk w połączeniu z zaciekawieniem, gdyż żadna z nas napadu bandyckiego nie przeżywała. A jednocześnie myślimy, co się z mężczyznami dzieje, nie słyszymy żadnego strzału, tylko przez chwilę żalosny skowyt dwóch pięknych białych owczarków zakopiańskich, które zawsze pilnowały stajni.

Wtem słyszymy gwałtowne łomotanie do drzwi wejściowych od strony kuchni na dole.

Ciocia Kunicka mówi, trzeba im otworzyć, to przecież Benek woła, poznaję jego głos. My wszystkie protestujemy, ale ciocia pędzi na dół. Słyszymy odsuwane rygle i po chwili stapanie licznych butów po schodach. Do salonu, w którym siedzimy, wpada dwóch mężczyzn uzbrojonych w rewolwery, jeden wysoki drab o dzikim wzroku, w skórzanej kurtce, u pasa wisząca szabla, naboje, granaty, a drugi niższy, przystojny, młody, w czarnym berecie na głowie, mniej uzbrojony, ale z rewolwerem w ręku. Od razu zdejmują wszystkim paniom zegarki z rąk, mój ocalał, bo miałam długie rękawy. Obaj wołają groźnie po rosyjsku:

„*Dawaj diengi*” (1). Na to Benek, który z nimi razem wszedł, powiedział: „Nie ma pieniędzy, możecie szukać”. Tymczasem widzę, jak łapserdaki, jedni uzbrojeni w karabiny, wnoszą walizki, koce i co się da, z pokoju, w którym leży Różia Żółtowska. Herszt wysoki wszedł z tego pokoju, a młodszy w berecie, ciągle trzymając rewolwer, upomina się u Benka: „*Dawaj diengi*”. Benek mu tłumaczy, że pieniędzy nie ma, dodając: „Gdybyście wczoraj przyszli, to pieniądze były, bo wczoraj była wypłata”. „Aha, u was wczoraj był Niemiec na noc”. Zoba-

czywszy na stole szachy, mówi: „Wot szachy”. Na to Benek: „Pan gra? To może zagramy”. I zasiadają do gry. Bandyta, który się nazywał Wania, bo tak na niego ten wysoki wołał, ciągle trzyma rewolwer w ręku. Ja przyglądam się tej grze i wreszcie mówię do bandyty: „Niech pan rewolwer odłoży”. „*Mnie nieźlia*” (2). Rabowanie na piętrze i na parterze trwa nieustannie, a nasze myśli krążą około naszych panów, o których nic nie wiemy.

Około północy główny herszt stając przy drzwiach mówi: „*Czas konczac*” (3) i jakieś rozkazy wydaje hałastrze, a nam, kobietom, każe się zebrać przy schodach prowadzących na parter i mówi po rosyjsku: „Nie wolno wam się przez 15 minut stąd ruszyć” – i raptem z patosem, podniósłszy rękę do góry, mówi: „*Boh był, jest i budiet*” (4) – i każdej z nas łapę podaje. Po czym z tupotem hałastra zbiega ze schodów i nastaje cisza i zostajemy na długim korytarzu, na końcu którego są drzwi prowadzące na dół. Czekamy nasłuchując, niespokojne o los naszych panów. Po kwadransie otwierają się owe drzwi w perspektywie korytarza i wchodzi mój brat a za nim inni panowie, boso, niektórzy bez kurtek, ale cali i zdrowi. Na widok ich ogarnął nas niepowstrzymany śmiech jako objaw raptownego odprężenia nerwów i pomieszały się obustronne wypytywania, gdzie, jak i co?

Okazało się, że gdy mój brat z gajowym zblizali się do domu rybaka, zostali od razu otoczeni przez postacie, wyłaniające się z krzaków z rozkazem: „*Ruki w wierch*”, które się kazały prowadzić do dworu. Ten sam los spotkał inne placówki i tak wszyscy mężczyźni zostali skupieni naprzeciw głównego ganku pod dwoma nisko rozgałęzionymi starymi lipami. Mój brat dał nura pod lipy między dwa pnie i siedział cicho, podczas kiedy opryski pozostałym ściągnęły buty, jednemu opornemu zdjęli kurtkę i pozostawiając jednego kompana uzbrojonego, dołączyli do plądrujących we dworze. Tymczasem inni, zastrzeżliwszy pocziwe owczarki broniące stajni, wyciągnęli bryczkę i parę koni, załadowali zrabowane rzeczy i nakazali pod rewolwerem furmanowi wieść się we wskazanym kierunku. Furman, bardzo oddany człowiek, kluczył po lesie, mając nadzieję, że z miasteczka żandarmi niemieccy ruszą w stronę dworu, ale w pewnym miejscu w lesie, bandyci przenieśli rzeczy na jakieś czekające furmanki, kazali stangretowi wracać, a sami zniknęli w kierunku owej wsi Zielone. Okazało się też, że byli we młynie i wywieźli kilka worków mąki.

Objaśnienie zwrotów rosyjskich:

1. *Dawaj pieniądze.*
2. *Mnie nie wolno.*
3. *Pora kończyć.*
4. *Bóg jest, był i będzie.*

Uzupełnienie opisu napadu zrobione przez Izabelę Broszkowską

Opisany powyżej napad miał miejsce w majątku mojego dziadka Kazimierza Fudakowskiego, długoletniego prezesa Warszawskiego Związku Ziemiańców, CTR i innych przedwojennych organizacji rolniczych oraz senatora II-ej RP. W czasie okupacji wśród innych osób wysiedlonych z terenów wcielonych do Rzeszy przebywali w Krasnobrodzie moi rodzice Benedykt Żółtowski i jego żona Róża, córka Kazimierza Fudakowskiego. Teresa Rostworowska, autorka opowieści była zaś siostrą Kazimierza.

Mój ojciec we wspomnieniach tak opisuje to zdarzenie:

„Pierwszy napad na Krasnobród przeżyliśmy w czerwcu 1942 roku. Jestem w kancelarii biura majątku, otrzymuję telefon od żandarmerii kwaterującej przy gminie na Podklasztorze (miejscowość Krasnobród składała się z trzech części - Podzamku, gdzie był dwór, samego miasteczka i Podklasztora, gdzie był kościół i dawny klasztor dominikanów). Komendant 10-osobowego posterunku donosi, że ma wiadomość o biwakującej w pobliskim lesie dużej bandzie i że na pewno uderzą wieczorem na majątek. Dziękuję za tak miłą informację i pytam, jak oni zareagują. Oświadczą mi bardzo butnie, że Zamość jest zawiadomiony i przychodzi im na pomoc silna kompania wojska i żandarmerii. Równocześnie i my od swoich dowiadujemy się, że owa banda to sowieccy dezercerzy z obozów jenieckich. Mija cały dzień w spokoju. Pod wieczór znów telefon od żandarmów, że już idą i przeszli most na Wieprzu. Pytam „co wy na to?” - „czekamy na pomoc z Zamościa, gdy bandyci będą u was, uderzymy na nich całą siłą”. Ot „masz babo placek!” - z poszczególnym najeźdźcą dajemy sobie jakoś rade, ale skoro mamy służyć jako poli-

gon dla dwóch zwalczających się stron, ładnie na ty wyjdziemy. Wychodzę z biura i widzę idącego w moją stronę wuja mojej żony, Wincentego Chmyzowskiego, stale u nas zamieszkałego, a po obu jego stronach dwóch „dżentelmenów” uzbrojonych w karabin i rewolwery. Podchodzę do nich witając się, jak z spodziewanymi gośćmi. Oni po rusku, ja po polsku ale jakoś dogadujemy się. Pytam się jakie mają dezeraty - a więc przede wszystkim pieniądze, mięso, słonina, mąka.

Śmieję się, źle wybraliście dzień, wypłata zarobków pracowniczych była wczoraj, dziś pozostały w kasie tylko resztki, lecz i te chętnie dam. Na to jeder z moich rozmówców mówi mi „myśmy też wczoraj mieli być, ale kwaterował u was pułkownik niemiecki, więc nie chcieliśmy robić sobie i wam nieprzyjemności. Spotkałem go wczoraj gdy naprawiał samochód i dał mi tę kartkę, by przygotować kwatery. Z owym posłańcem hitlerowskiego pułkownika, na imię mu było Grisza, zawarliśmy przyjaźń. Później kiedyś ocalił mi życie. Mimo miłych pogaduszek obrali nas szpetnie, a ja w międzyczasie grałem z Griszą w szachy. Oczywiście żadnej obrony przez Niemców nie było. Posterunek Żandarmerii na Podklasztorze schował się w bunkrze, a kompania spała snem o wielkiej Rzeszy.”

A moja mama, która była wtedy w ostatnim miesiącu ciąży, tak pisze o tym samym zdarzeniu:

„...Gdy nam się zdawało, że już sobie pójdą, raptem herszt bandy stuknął się w głowę i kazał swym kolegom iść na koniec korytarza, gdzie była nasza sypialnia. Wygarnęli wszystko, cośmy tam mieli i kazali mi pakować wyrzucane z szaf rzeczy, a sami jeszcze buszowali. Wreszcie zamknęli walizy, ale herszt sprytnie zajrzał jeszcze za kanapę, gdzie pakując, co lepsze i wartościowsze rzeczy wrzucałam na kupkę... W tym momencie wrzask okropny i pistolet przyłożony do mojej skroni. Anioł Stróż mnie uratował, bo pogroził mi tylko i poszli sobie.”

Autorką niniejszego komentarza jest zaś „dwuletnia Izabelka” obecnie Izabela Broszkowska